

"Łysa śpiewaczka" w Bydgoszczy

W 1981 roku w naszym mieście nie było zbyt wielu imprez masowych i nikt nie organizował żadnych festynów. Nie było wtedy nawet władz samorządowych, które mogłyby miasto promować. O ile dobrze pamiętam to chyba jednym z największych wydarzeń społecznych było święto pracy i pochód pierwszomajowy. Każdy gdzieś w tamtych czasach pracował i nie wszystkie soboty były wolne od pracy. Dzisiaj wyrażenie „wolna sobota” straciło już rację bytu i dla nowych pokoleń sobota to po prostu sobota.

Na początku lat 80-siątych całe życie towarzyskie toczyło się przede wszystkim w mieszkaniach, ludzie się odwiedzali i wspólnie imprezowali. Było wprawdzie w Bydgoszczy kilka lokali gastronomicznych, które jednak w powszechnej opinii uchodziły za spelunki i kilka eleganckich lokali, które były koszmarnie drogie. Dużą popularnością cieszyły się kluby studenckie, o odbywających się tam imprezach krążyły legendy. Ciężko mi było się tam dostać, bo nie byłem studentem. Uczyłem się wtedy w policealnym studium żeglugi śródlądowej na ulicy Świerczewskiego (teraz Świętej Trójcy), więc musiałem organizować sobie czas inaczej.

Na pewien czas przygląnąłem do dwóch kolegów z mojej klasy, którzy zajmowali się organizowaniem dyskotek w różnych szkołach i zespołach szkół. Mieli oni cały niezbędny do tego sprzęt kolumny, wzmacniacz i błyskające światełka. Muzyka dyskotekowa puszczana na tych potańcówkach zupełnie do mnie nie przemawiała. W tamtych czasach całymi wieczorami, a nawet nocami słuchałem audycji trójkowych Wojciecha Mana i Marka Niedźwiedzkiego. Trzymałem rękę na magnetofonie i nagrywając poszczególne „kawałki”. Bardzo mnie denerwowały komentarze prowadzących audycję, wygłaszane po rozpoczęciu utworu, który akurat nagrywałem. Miałem wtedy magnetofon szpulowy, magnetofony kasetowe dopiero zaczynały się w Polsce pojawiać i były bardzo drogie.

Bardzo popularne było w tamtych czasach „polowanie” na muzyczne przeboje światowe, pojawiające się na antenie naszego radia. Zafascynowany byłem na przykład muzyką z albumu „Ściana” zespołu Pink Floyd, która pierwszy raz trafiła do Polski gdy byłem jeszcze w liceum. Nie można było kupić takich płyt w żadnym sklepie, bo ich nie było mam oczywiście na myśli płyty analogowe. Zaczęły one do nas trafiać z pewnym opóźnieniem, przywożone z zagranicy, a później podrabiane przez wytwórnie z krajów socjalistycznych i potrafiły osiągać zawrotne ceny.

Chociaż więc, nie lubiłem muzyki dyskotekowej, uczestniczyłem w organizowaniu szkolnych dyskotek, głównie dlatego, że były to wtedy jedyne dostępne dla mnie imprezy. W Bydgoszczy było wtedy kilka lokali, które takie dyskoteki organizowały, jak na przykład „Zodiak”, „Muzyczna” czy „Sawoy” ale wejście na nie było dla mnie zbyt drogie. Na imprezy studentów w „Beanusie”, „Spinie” lub „Sezamie” trudno było się dostać.

Za organizowanie tych dyskotek dawano nam nawet jakieś niewielkie pieniądze, a za moją pomoc kumple odpalali mi zawsze jakąś małą działkę. Uważałem, że to sprawiedliwe, bo sprzęt i samochód, którym jeździliśmy należał do nich. Pieniądze nie były takie ważne, liczył się darmowy wstęp na imprezę właściwie zamkniętą, zawsze udawało się nam przemycić jakiś alkohol. Prawie zawsze poznawałem tam dziewczyny, z którymi się później umawiałem na randki. Nie wszystkie szkoły decydowały się tego typu dyskoteki organizować, jednakże te mniej surowe ulegały namowom uczniów, których „kręciły” nowoczesne i nowatorskie w tamtych czasach dyskoteki z aktualnymi przebojami.

Wieczory, w które nie organizowaliśmy dyskotek, spędzałem zazwyczaj razem z kolegą z ogólniaka, który zamierzał zostać geodetą. Uczęszczał on do Zespołu Szkół Budowlanych na ulicy Pestaloziego. Uczyło się wtedy w tej szkole wielu Afrykańczyków i ze zdziwieniem oglądałem ich pokoje w internacie przy ulicy Toruńskiej wyposażone w telewizory i lodówki. Mieszkali oni w takich pokojach pojedynczo, podczas gdy mój kolega mieszkał w pokoju tej samej wielkości wraz z trzema innymi polskimi chłopakami.

Zazwyczaj, wraz z kolegą, odwiedzaliśmy nasze szkolne koleżanki. Jako świeżo upieczone studentki mieszkaly one w akademiku WSP na ul. Ogińskiego. Chodziliśmy razem do teatru na Rybim Rynku, galerii malarskiej Kaji i Solińskiego, która była wtedy gdzieś przy Dworcowej i do różnych kawiarni takich jak „Magnolia”, „Kameralna”, „Parnasik”. Pamiętam, że w galerii przy Dworcowej przesiadywaliśmy w większym gronie dyskutując czasami do późnych godzin nocnych. Siedząc na skrzynkach postawionych na betonowej podłodze, piliśmy ze szklanek wino albo herbatę przy nastrojowym świetle świec. Na ścianach wisały obrazy malowane przez ludzi, z którymi rozmawialiśmy.



Któregoś dnia oglądaliśmy w BWA spektakl „Łysa śpiewaczka” w niecodziennej scenerii, bo poza teatrem. My, widzowie siedzieliśmy na podłodze sali wystawowej i zajmowaliśmy prawie całą jej powierzchnię z wyjątkiem prostokąta na środku, po którym poruszali się aktorzy. Nigdy przedtem ani potem nie miałem tak bliskiej styczności ze sztuką. Po spektaklu wspólnie z aktorami, z których najbardziej nam znany był Jerzy Zelnik, część widzów poszła do kawiarni artystycznej na ulicy Pomorskiej. Później została ona przemianowana na „Bar ludowy”. Z Zelnikiem nie udało nam się porozmawiać, był za bardzo oblegany, ale i tak długo jeszcze po tym zdarzeniu chwaliliśmy się znajomym, że byliśmy z Zelnikiem w kawiarni.

Fragment mojej książki: <http://www.mybook.pl/6/0/bid/276>

Autor: barkarz

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl